

MAJ 2017

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

MAGAZYN BEZPŁATNY ISSN 2299-6273

#14

MiC

MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY

Discopolonizacja Polski / Wojtek Mazolewski
Stanisław Grzesiuk / Najntisy / Szafa Grająca



Siesta na tarasie

20.05 POLA RISE

15.07 DUIT

29.07 RENI JUSIS

19.08 FLIRTINI

26.08 ADRIAN SHERWOOD

TARAS AMFITEATRU NCPP

WSTĘP WOLNY

LETNIA SCENA NCPP

16.06 KLEZMAFOUR + KROKE

30.06 VAVAMUFFIN

14.07 LESKI

21.07 BOVSKA

28.07 DARIA ZAWIAŁOW

04.08 ELDO

11.08 SHY ALBATROSS

18.08 KAPELA ZE WSI
WARSZAWA

01.09 EAST WEST ROCKERS

OPOLSKI RYNEK

WSTĘP WOLNY

spis treści

MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY

Narodowego Centrum Polskiej Piosenki

#14

Poczet najpopularniejszych artystów Polski,

czyli na kulturze zna się każdy **str. 4**

Shorty

Newsy, plotki, ploteczki **str. 6**

Discopolonizacja Polski

Czy można zdiscopolonizować cały kraj? **str. 8**

Najntisy,

czyli bardzo subiektywny rajd przez lata dziewięćdziesiąte **str. 11**

Historia jednej piosenki

Syn stolicy, czyli morowy chłopak w ostrogach **str. 16**

Wywiad z Wojtkiem Mazolewskim

Nie zwalням tempa **str. 18**

Szafa Grająca

The Flaming Lips: Sunrise (Eyes of the Young) **str. 21**

Zaleca się

Recenzje **str. 23**

MIC w formacie PDF do pobrania również na naszej
stronie internetowej **www.ncpp.opole.pl**

POCZET NAJPOPULARNIEJSZYCH ARTYSTÓW POLSKI

tekst: Marek Szubryt

Na kulturze zna się niemal każdy. Bo co w tym trudnego? Przecież patrzeć, czytać czy słuchać potrafią niemal wszyscy, a już oceniać to na pewno. Może muzea i galerie sztuki współczesnej mają nieco łatwiej, lepiej ich nie tykać, bo cholera wie, o co im tam chodzi, łatwo można się zbłądzić i jeszcze wyjdzie, że nic nie rozumiem i zamiast ja z nich, to oni ze mnie będą się śmiać. No, chyba że można wyśmiać w zaprzyjaźnionym gronie na fejsbuniu jakąś instalację albo wystawę. Oczywiście najlepiej tę, której się nie widziało, ale o której się czytało lub widziało się „relację foto” czy post znajomego, w którym napisał to i tamto, więc co, ja nie napiszę? Albo teatr. To jest cel! Może nie pielgrzymek, ale rozumiany jako tarcza już bardziej. Gdyby postawić przed polskim internetem kogoś z innego kraju, kto nigdy o Polsce nie słyszał, ale nagle pojął nasz język, odniósłby wrażenie, że Polacy są narodem wyjątkowo rozsmakowanym w sztuce, także teatralnej. Ile opinii na temat spektakli, jaka żywa dyskusja! Może i czasem aż zanadto, czasem wręcz zapalczywa, ale czy nie takie, między innymi, jest zadanie sztuki? Żeby prowokować do myślenia, do dyskusji? A od tej nasz internet aż kipi...

A jako że sieć jest pełna fachowców, to nie brakuje ich także w kwestii nam najbliższej, czyli muzyki. Dlaczego ten nie wystąpił, dlaczego tego nie zaprosili? Ten to przecież jest beznadziejny, tego nikt nie słucha, a z kolei ten to tamto i owamto, a przecież gdyby wystąpił X, Y, Z, to byłaby impreza! Te i masa innych, znacznie mniej przyjemnych zdań wylewa się z wszelkich forów, postów i komentarzy. W tym momencie przypomina się rysunek, który ukazał się w trakcie ostatniego Konkursu Chopinowskiego, wszak Polacy to naród melomanów, który w mazurkach i polonezach Chopina rozsmakowany jest jak nikt inny na świecie, a Szopen nasz i wara od niego! Toteż z ogromną, wręcz chyba wrodzoną łatwością potrafimy wskazać, który artysta jest lepszy, a który gorszy. Ale w ostatnim roku, mam wrażenie, weszliśmy na nowy, wyższy poziom. – Trzeba skończyć z tą pruderią i hipokryzją – powiedział w sławnym już miniwywiadzie prezes TVP Jacek Kurski do Zenona Martyniuka, chcąc tym samym dać jasno do zrozumienia, że skoro

coś jest popularne, coś się dużej ilości ludzi podoba, to należy to ludziom po prostu dać. Zawrzało momentalnie, bo jak to, disco polo w telewizji publicznej? Z remiz i powiatowych dyskotek na salony misji w *prime time*? Przecież nawet Polsat się z tego ładnych kilka lat temu wycofał. No, ale nie można być hipokrytą, powiedział prezes Kurski, i skoro disco polo się Polakom podoba, Polacy mają do niego prawo. Kalendarz Zenka Martyniuka i innych wykonawców z kręgu tej muzyki nie kłamie, to jedni z najbardziej zapracowanych artystów w naszym kraju. A jeśli nie w kalendarz, to zagłębicie w internet. Tu dochodzimy do mojego ulubionego „argumentu”, czyli wartości artysty liczonej popularnością w sieci. Bo przecież wspomniany Martyniuk i jego Akcent ma, w zależności od piosenki, po kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt milionów odsłonek. Takie 4 miliony odtworzeń – coś, co dla większości artystów jest nieosiągalne – u Zenona oznacza „słabiutko”. Weźmy dla porównania Czesława Niemena, artyści dla polskiej piosenki i samego Festiwalu w Opolu nie do przecenienia. „Sen o Warszawie” uzbierał ponad 15 milionów odsłonek, „Jednego serca” – 3,5

miliona, „Dziwny jest ten świat” w wersji studyjnej – ponad 5 milionów, ale już „Dziwny jest ten świat” we fryzurze „na pazia” z Sopotu z 1967 – tylko nieco ponad półtora miliona. Słabiutko, tym bardziej że po kilka milionów mają piosenki Martyniuka wrzucone zaledwie kilka tygodni temu, a utwory Niemena wiszą na YouTube od lat. Choć należałoby chyba w takiej sytuacji powiedzieć: zalegają. Albo taki Wojciech Młynarski. W związku ze śmiercią artysty rozgorzała dyskusja, która szybko przeszła w internetowe żądanie, by na tegorocznym Festiwalu w Opolu, choć wcześniej ponoć nieplanowany, odbył się koncert panu Wojciechowi poświęcony. No to spójrzmy na YouTube. Zestawienie otwiera, a jakże, „Jesteśmy na wczasach” z ilością niewiele ponad półtora miliona wyświetleń. Następnie znajdują się: „Nie ma jak u mamy” – 683 tysiące, „Jeszcze w zielone gramy” – 508 tysięcy, reszta tak podobno drogich nam, Polakom, piosenek nie zbierała nawet pół miliona odsłon. Cienizna. No dobrze, ale przecież nie kierujemy się tylko i wyłącznie YouTube’em, nowe media pączkują z taką prędkością, że trudno za nimi nadążyć. Weźmy zatem, póki co, niezaprzeczalnego lidera. W zeszłym roku dziesięcioma najpopularniejszymi polskimi artystami na Facebooku byli: Sylwia Grzeszczak 791 tys. fanów, O.S.T.R. 791 tys., Ewa Farna 820 tys., Grubson 828 tys., Pezet 951 tys., Sobota 971 tys., Enej 1,023 mln, Cleo 1,384 mln, Behemoth 1,390 mln, Kamil Bednarek 1,574 mln. Różnorodność stylistyczna artystów może budzić zdumienie (jeśli ktoś w TVP chciałby je wykorzystać, to śmiało, impreza jak się patrzy), ale przyjrzyjmy się raperom z tego zestawienia. Hip-hop od lat jest jednym z najprężniej rozwijających się gatunków w Polsce, a miłośnicy tej muzyki, w odróżnieniu od niemal całej reszty, stosunkowo chętnie kupują płyty swoich ulubionych wykonawców. Toteż na YouTube najpopularniejszym utworem O.S.T.R.-a jest „Mówiłaś mi”, który



zbierał nieco ponad 26 milionów odsłon. A jest to nagranie wrzucone do sieci przez fana, gdyż oficjalne utwory z kanału wytwórni, w której Ostry wydaje, mają najwięcej 19 milionów odsłon. Z kolei najpopularniejsze kawałki Pezeta mają od kilkunastu do 23 milionów odsłon. Nie muszę chyba mówić, że Gang Albanii kładzie obu panów na łopatki, osiągając nawet 45 milionów odtworzeń. Ale to jeszcze nic, niejaki Cypis, przy którym Popek jest Młynarskim, a Matheo Korczem, osiąga wyniki w granicach 25 milionów. No więc jak to jest? Gdzie w tym zestawieniu jest Cypis? Żądam Cypisa na Festiwalu w Opolu, żądam Cypisa na Męskim Graniu, żądam wreszcie Cypisa w TVP, na sylwestrze z Dwójką, na jasełkach z Jedynką i na czymkolwiek w TVP info i liście Trójki. Trzeba w końcu skończyć z tą hipokryzją.

PS. Idąc tym tropem, żądam także, by nie stosować zasady internetowej popularności tylko i wyłącznie do muzyki i mediów ją prezentujących. Żądam, by Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zaczęło dotować najpopularniejszych twórców na polskim YouTube, a w TVP i kinach można było zobaczyć 10 najpopularniejszych internetowych filmików zeszłego roku. I nie obchodzi mnie, że kompilacje śmiesznych zachowań kotów i dubstepowych psów, jak wkręcić śrubę bez śrubokręta oraz pornosy nijak misji nie spełniają. Podoba się, więc skończmy wreszcie z tą pruderią i hipokryzją.

//Shorty

Newsy, plotki, ploteczki



Sentymentalny Open'er

„Kasa, kasa, wielu się wyprze...” rozbrzmiewało na przełomie wieków z niejednego odtwarzacza. Jeśli na dźwięki „Świąteł miasta” Grammatika kręci się Wam łezka w oku, to będzie okazja przenieść się w czasie i na żywo posłuchać „nie o różach, nie o bratkach”. Panowie postanowili z okazji 20-lecia powstania kolektywu zagrać dwa koncerty. Jeden w Gdyni na Open'erze, drugi na kultowym Hip-Hop Kemp. Fajerwerków nie należy się spodziewać, wszystko raczej opiera się na sentymentach, ale czy coś w tym złego?

tekst: Michał Mościcki



Raper raperowi nierówny

Niemalą aferę rozpętał Wiz Khalifa, który podczas swej wizyty w Kolumbii po koncercie w Medellin pojawił się na (przy?) grobie Pablo Escobara. Na nagrobku kokainowego barona złożył kwiaty i skręconego jointa, a całość umieścił na swoim instagramowym profilu. Burmistrz Medellin nazwał Khalifę idiotą, który powinien oddać hołd ofiarom Escobara, a nie nobilitować mordercę. Trudno się nie zgodzić. Są jednak w „rap grze” tacy, których interesuje więcej niż kontrowersyjne fotki na insta. Chance The Rapper zwołał niedawno konferencję, podczas której oznajmił, że jego fundacja zebrała niemal trzy miliony dolarów, które przeznaczy na dofinansowanie artystycznych zajęć w publicznych szkołach, aby walczyć z wykluczeniem najbiedniejszych. Można?

tekst: Michał Mościcki



Oasis czy Blur?

Portal Pitchfork zamieścił listę 50 najlepszych albumów britpopowych. Wygrało Pulp z albumem „Different Class”. Przy okazji portal opublikował wywiad z twórcą obu części „Trainspotting”, Dannyem Boyle'em. Reżyser został wybrany nieprzypadkowo, gdyż w obu częściach „Trainspotting” muzyka z kręgu anglosaskiego odgrywała w filmie kluczową rolę. Nie mogło też więc zabraknąć fundamentalnego pytania dla całej sceny brytyjskiej: Oasis czy Blur? „Wiedziałem, że to padnie. Wiesz, jestem z Manchesteru. Niech to starczy za odpowiedź” – powiedział.

tekst: Rafał Czarnecki



Seriale, seriale

Gdy trzymacie w rękach ten numer MIC-a, na platformie Netflix już możecie oglądać drugi sezon serialu „The Get Down”. Fabuła posunęła się do przodu i mamy rok 1978, a nasza dwójka bohaterów musi zmagać się ze światem tzw. szołbizu. A wszystko to osadzone jest w Nowym Jorku, który aż tętni muzyką. Ale to nie koniec nowości Netflixa, na które także warto zwrócić uwagę. 31 października ma się ukazać drugi sezon „Stranger Things”. Za ścieżkę dźwiękową ponownie odpowiedzialni będą Kylie Dixon i Michael Stein, panowie, którzy błysnęli soundtrackiem do pierwszego sezonu, w którym muzyka idealnie współgrała z klimatem serialu oddającego hołd popkulturze lat osiemdziesiątych. Tym razem panowie zapowiadają, że muzyka będzie bardziej mroczna.

tekst: Rafał Czarnecki

PREZYDENT MIASTA OPOŁA ORAZ
NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
ZAPRASZAJĄ NA KONCERT

WOJTEK MAZOLEWSKI

QUINTET + GOŚCIE

KATARZYNA NOSOWSKA NATALIA PRZYBYSZ
JOHN PORTER JUSTYNA ŚWIĘS
WOJCIECH WAGLEWSKI PIOTR ZIOŁA
O.S.T.R. PROWADZĄCY:
PIOTR METZ

19/05/2017 MIEJSCE: AMFITEATR NCPP / OPOLE
START: 20⁰⁰ / BILETY: 10 ZŁ

PARTNERZY:

WWW.NCPP.OPOLE.PL Going. TICKETPRO

ORGANIZATOR: Narodowe Centrum Polskiej Piosenki KONCERT W RAMACH OSŁOCHÓW

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
UL. PIĄTOWSKA 14A, OPOLE 45-082



DISCOPOLONIZACJA POLSKI

tekst: Bartek Chaciński

Czy można zdiscopolonizować Polskę? Cały kraj? – zapytam, parafrazując słowa autorów książki „Repolonizacja Polski”, którzy zainspirowali mnie do wymyślenia tytułowego hasła. Mogłoby ono być zresztą tytułem nowej książki cyklu. Poprzednia opowiada o tym, że – cytuję, bo niektórzy mogą nie uwierzyć na słowo – stopień uzależnienia Polski od cudzoziemskich ośrodków władzy osiągnął niebywałe wprost rozmiary, co zręcznie kamuflowały cudzoziemskie, choć w języku polskim emitowane i drukowane gazety, radiowe rozgłośnie i stacje telewizyjne. Przypominało to już znaną z historii sytuację przedrozbiorową.

Na szczęście aktualny prezes TVP Jacek Kurski po wielu miesiącach prób znalazł odpowiedź, a właściwie odkrył kamień filozoficzny, który pozwoli odebrać obcom całą tę uwagę, którą zagarnęli. Disco polo. Wiekopomne słowa prezesa telewizji do Zenka Martyniuka: Pan ma zawsze miejsce w TVP, dopóki ja jestem prezesem – cytuję w dzisiejszym tekście w papierowej „Polityce”. To dopiero początek nowej ery na Woronicza, do której nieśmiało przygrywkę mieliśmy jeszcze za czasów poprzedniego zarządu, kiedy Sławomir Świerzyński wypowiedział na antenie TVP Kultura inne głośne słowa: Za 10–15 lat my będziemy evergreenami, Grechutą. Jednak dopiero prezes Kurski przystąpił do tego – jak do repolonizacji – kompleksowo: po sylwestrze z Martyniukiem zapowiadany jest teraz cykliczny program o disco polo, a do tego huczna gala na 25-lecie gatunku. Pojawiają się też wieści o serialu fabularnym. Prezes nie docenia jednak ważnej cechy gatunku...

U disco polo podejrzewam mianowicie tę cechę, którą ma alkohol. W niewielkich ilościach ułatwia kontakty towarzyskie, a wielu osobom pozwala nawet poczuć się lepiej. Regularnie spożywany w nadmiarze jest w stanie stopniowo wypełnić sobą dowolną życiową przestrzeń i wyeliminować inne formy rekreacji. Przetestowały to gwiazdy gatunku, który w czarnej godzinie, przepędzony z anteny Polsatu, a jeszcze nie zaproszony przez ZPR Media do własnego kanału tematycznego (i jeszcze przed erą YouTube’a), nie próbował śrubować wartości i nie wykształcił odmian alternatywnych – jak choćby country – za to świetnie nauczył się stawiać na ilość. Uosobieniem tego zjawiska jest Zenek Martyniuk, który dzielnie gra na weselach (przemysł ten utrzymuje zastępy wykonawców, mimo umiarkowanych stawek za granie i słabej sprzedaży płyt) i jest w stanie zaprezentować publiczności nawet kilka „sztuk” dziennie. Nie ma w tym oczywiście nic zdrożnego. Zespół Akcent na scenie przypomina nie tylko znane mi z młodości formacje w rodzaju Modern Talking, ale też stare tradycje weselnej muzyki z krajów bardziej odległych, czyli Omara Souleymana i jego wiernego klawiszowca. A ci też są niezmordowani – zresztą być może szansą nowego polskiego eksportu kulturalnego jest wypromowanie na świecie

powstałego z kolan gatunku disco polo jako katolickiej muzyki weselnej, egzotycznej jak to szaleństwo z Syrii (o pasji DP do egzotyki jest trochę w linkowanym tekście z papierowego wydania). Piszę to zupełnie poważnie – w końcu za trzy dni Akcent wystąpi na festiwalu Polish Power Energy w Londynie, w jednej z sal wielkiego kompleksu O2. Tymczasem pracowity Martyniuk tego samego wieczoru chce jeszcze zagrać koncert w odległym o prawie 100 mil Peterborough, co wprawia w zakłopotanie najbardziej oddanych fanów. Disco polo idealnie pasuje też do sposobu zarządzania Polską jej aktualnych polonizatorów – opiera się bowiem na pewnym stałym repertuarze, ma podobny system wartości i preferuje równie wysokie tempo pracy. Pytanie tylko, czy takie tempo ekspansji wytrzyma publiczny nadawca. Łączy się bowiem z disco polo pewien drobny paradoks – jako fenomen prostej narodowej muzyki ery niepodległości traktowana była z wywyższością, ale wyznaczała przy tym pewną granicę wstydu, której nie wypada w mediach publicznych przekraczać, bo po jej przekroczeniu można już zagrać wszystko. Odbiera publicznemu nadawcy możliwość stosowania kryterium estetycznego – bo wcale nie było tak, że – jak twierdzi Kurski – z hipokryzji disco polo eliminowano. Albo – jak twierdzą sami discopolowcy – eliminowały ich wielkie koncerty sprowadzające zachodnią muzykę. Nikt



A oto jak wygląda plakat promujący jedno z największych polonijnych wydarzeń w UK - Polish Power Energy DISCO POLO Festiwal Londyn 2017!

Bilety na to wydarzenia znajdziecie oczywiście w naszym sklepie. Link w komentarzu — z: Marek OneStage, Arek Taneczny, Akcent i 13 innych użytkowników



nie odbierał tym ludziom prawa do grania, działania, ekspresji, pobierania tantem z ZAiKS-u, a nawet nazywania tego, co robią, działalnością artystyczną. Chodziło raczej o powiedzenie sobie czegoś innego: niektórych gatunków nie gramy, bo wiążą się z nimi na tyle duże emocje publiczności, że sukces jest pewny, a pokusa grania ich częściej i częściej pojawia się zawsze. Bo w tym sporze nie chodzi o to, żeby disco polo wyeliminować, niech nam żyje tam, gdzie żyje, tylko żeby ono nie wyeliminowało reszty. Skoro prezes Kurski prowadzi medium publiczne i do swojej oferty

włącza disco polo, to odbiera tym samym czas całej reszcie (nie chcę tu już snuć porównania z alkoholem, choć się sprawdza, za to przypomnę myśl, którą w tekście „Pusta plaża” sformułował kiedyś Tadeusz Sobolewski – że DP wchodzi na miejsce opuszczone przez sztukę). TVP nie tyle wpuściła więc disco polo na antenę, co rozpoczęła pewien proces, którego nie będzie w stanie kontrolować. Nie kontrolują go nawet same gwiazdy gatunku – Martyniuk, który w innych warunkach mógłby być jakimś rozwijającym się, naturalnym i ludowym artystą (w duecie z Marylą wypadł lepiej

i naturalniej – to jasne), od ponad ćwierć wieku robi dokładnie to, czego chce od niego nieistniejący wprowadzić w naturze w czystej formie, ale bardzo ekspansywny „przeciętny” słuchacz. Czego mu współczuję, choćby zarabiał dziennie więcej niż ja w ciągu miesiąca.

Czasem mam wrażenie, że i cała formacja proces discopolonizacji już rozpoczęła – biorąc pod uwagę to, że DP uznawano często za gatunek prowincjonalny, a PiS chce tak zmienić mapę Warszawy, by już nigdy nie zarzucano mu braku wielkomiejskości. Ja tam oczywiście się z całego tego przewartościowania trochę cieszę – bo bezwzględna dominacja disco polo oznacza koniec odbioru ironicznego, traktowania go jako jakiegoś podziemnego rynku i koniec politycznie poprawnego opisywania chałwy jako realizacji społecznego prawa do osobnego gustu. Atmosfera trochę się oczyści i przestaniemy z DP robić sensację. Ale żeby nie poświęcać dziś całej uwagi temu gatunkowi, zapraszam do przeczytania recenzji świetnej płyty polskiego artysty, którą opublikowałem w tym samym wydaniu „Polityki”. W telewizji raczej o tym nie usłyszycie.

[Tekst ukazał się 1.02.2017 na blogu autora: www.polifonia.blog.polityka.pl]

//Najntisy

czyli bardzo subiektywny rajd przez lata dziewięćdziesiąte

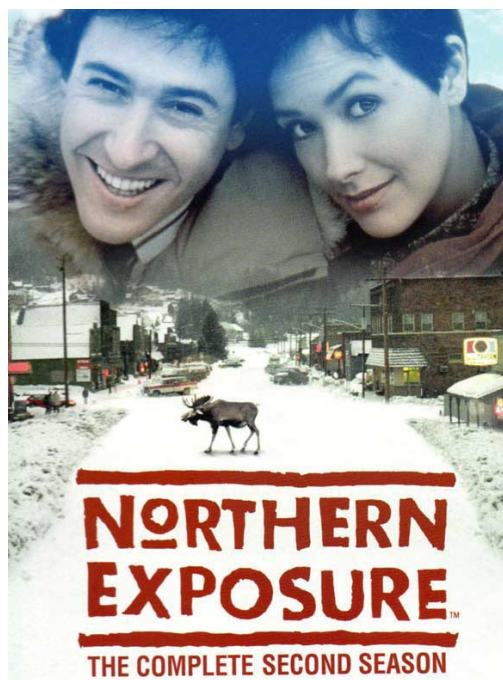
tekst: Rafał Czarnecki

Miałem sąsiada Dyżka. Dyziek poza wieloma odcieniami koleżeńskości miał jeszcze jeden niezaprzeczalny walor: posiadał magnetowid. Niestety jego kolekcja filmów była marna, toteż pewnego wieczora uknuliśmy wspólnie chytry plan i ponaklejaliśmy na kasety nowe etykiety, z wymyślonymi, finezyjnymi tytułami filmów. Następnie udaliśmy się na giełdę samochodową, gdzie różnej maści kinomani spotykali się, aby wymienić się swoimi zbiorami. Niektórzy z wymienianych się z nami wspominali coś o nogach i tylnych częściach naszego ciała, gdyby jakimś cudem okazało się, że są wymianą rozzarowani. Plan wypalił, a my na jakiś czas daliśmy sobie rzecz jasna spokój z odwiedzaniem giełd.

Okres dorastania zawsze wspomina się z większą lub mniejszą nutką sentymentu, a każdy z was z pewnością mógłby przytoczyć mnóstwo historii związanych z tym okresem życia. Ja na wstępie poczęstowałem was historyjką o giełdzie, ale tych klisz jest znacznie więcej. Zbierałem obrazki z gum Turbo, które zresztą do tej pory zaśmiecają jedną z szuflad. Koszykówka już zawsze będzie mi się kojarzyć ze słynnym „Hej, hej, tu NBA” Włodzimierza Szaranowicza. A pierwszym serialem, który chłonałem i z niecierpliwością czekałem tydzień na następny odcinek, był

oczywiście „Przystanek Alaska”. Jeśli czytając te słowa, choć raz pomyśleliście: „cholera, też tak miałem”, to znaczy, że istnieje duże prawdopodobieństwo, że dorastaliście w latach dziewięćdziesiątych.

Magiczne słowo „dojrzewanie” wiąże się nierozłącznie ze słowem „kształtowanie”. W pradawnych czasach epoki sprzed masowej dostępności internetu miejscem, w którym ów proces zachodził, było podwórko. Tu koleżanki i koledzy recenzowali książki do przeczytania czy podrzucali kasety. No właśnie, kasety – symbol muzyki lat dziewięćdziesiątych. Cały czas nagrywało się muzykę z radia, a jeśli jakaś piosenka wchodziła na Listę Przebojów Programu Trzeciego, grana była zawsze w całości. Tak więc czekało się cierpliwie, aby w odpowiednim momencie nacisnąć przycisk rec. Kwitł też w najlepsze oczywiście proceder piractwa. Jednym z najbardziej flagowych przykładów jest płyta Kazika „Spalam się”, która rozeszła się w ogromnej ilości, ale przez piractwo właśnie trudno oszacować dokładnie, w jakim zakresie. Doszło do takiego kuriozum, że – jak wspominał w spisanej przez Rafała Księżyka autobiografii sam Kazik – „Spalam się” miała wiele okładek stworzonych przez piratów, z okładką płyty Depeche Mode włącznie. A były to czasy, w których pomimo piractwa status złotej płyty osiągały wydawnictwa sprzedające się w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy. Teraz, aby zgarnąć złoto, wystarczy 15 tysięcy...



Muzycznie lata dziewięćdziesiąte to pęd, aby nadrobić czas stracony za żelazną kurtyną. Chłonęliśmy wszystko, co zachodnie, często bezkrytycznie traktowane jako „lepsze”. Na stronie dwutygodnik.com Bartosz Chaciński w swoim artykule „Lata 90.: Lokalni i banalni” pisze o takim nadrabianiu zaległości. Podając przykłady grupy Hey jako polskiej odpowiedzi na grunge, Kayah jako odpowiedzi na nowy soul czy wreszcie grupy Myslovitz jako odpowiedzi na całe lata dziewięćdziesiąte w Wielkiej Brytanii. Do kolejnego przewartościowania muzycznego doszło, gdy pojawił się polski hip-hop. Liroy jak szybko uzyskał naprawdę masową popularność, tak szybko stracił uznanie mojego podwórka. U nas rządził Kaliber 44 i Wzgórze Ya-Pa 3. Jeśli chodzi o Kalibra i jego album „Księga Tajemnicza: Prolog”, charakterystyczne było, że jedni z tej płyty rozumieli więcej, drudzy mniej. Tym drugim starczało przesłanie łączące ich z zakonem Marii. Z kolei Wzgórze Ya-Pa 3 dostarczyło nam utworu „Libacja”, bez którego nie mogła się odbyć żadna domówka.

Lata dziewięćdziesiąte to okres, kiedy odbiornik telewizyjny znajdował się prawie w każdym domu. Oglądało się „Luz”, w którym oprócz tematów społecznych było naprawdę sporo o polskiej muzyce. W 1995 roku zaczął się ukazywać program „30 ton – lista, lista przebojów”, który w dużym skrócie pokazywał 30 najbardziej popularnych piosenek w Polsce w danym tygodniu. To właśnie z tego programu wykiełkował dzisiejszy portal muzyczny www.cgm.pl. No, ale najbardziej kultowy był „Clipol”. Tylko polskie teledyski, bez zbędnej konferansjerki. Swego czasu zaczął być emitowany o godz. 14:00, więc nieraz trzeba się było „zwolnić” ze szkoły. Rynek prasy drukowanej też dawał sposobność do zdobywania informacji, by wymienić tylko takie tytuły jak: „Tylko Rock”, „XXL”, „Klan”, „Ślizg”, „Plastik” czy „Machina” i „Brum”. Redaktorem naczelnym tego ostatniego był Kuba Wojewódzki. Pamiętam, jak żywołowito dyskutowaliśmy o jego artykule pod tytułem, o ile mnie pamięć nie zwodzi, „Niech będzie pochwalony Lord Vader”. Chodziło o to, że Wojewódzki upublicznił wiadomość o tym, że został przeprowadzony wywiad z zespołem Vader, po czym przed publikacją zespół go całkowicie ocenzurował. Oczywiście zdania były podzielone. Z czasem Polska powoli

przestawała być koncertową czarną dziurą na mapie Europy. Promocja zagranicznych wykonawców była dość prosta, gdyż zazwyczaj zaczynała się od formuły: „po raz pierwszy w Polsce”. Wszyscy doskonale pamiętają trasę, którą zorganizowało RMF FM, o nazwie „Inwazja Mocy”. Na koncert z tej serii, na którym zagrała grupa Scorpions, przyszło ponad 200 tysięcy osób. To najdobitniej świadczy o tym, jak bardzo głośni byliśmy tego rodzaju wydarzeń

kulturalnych. No dobra, na razie nie było nic o disco polo. A lata te kojarzą się, i słusznie zresztą, z eskalacją popularności tzw. piosenki chodnikowej (tak była na początku nazywana). I choć także mnie nieobcy był rytuał niedzielnego przedpołudnia, które, chcąc nie chcąc, spędzałem z programem „Disco Relax”, to disco polo nie traktowaliśmy poważnie. Trzeba przyznać, że temat to naprawdę intrygujący i ciekawy, dlatego wydawało mi się, że próbę opowiedzenia tego

fenomenowi podejmie film „Disco Polo”, ale niestety, oprócz jakiejś fantazji na temat *american dream made in Poland* nic więcej w nim nie znalazłem. A szkoda. Już słyszę te głosy: „Nie napisał o tym czy tamtym”. Drogi marudzący czytelniku, odsyłam do tytułu. Moja konstatacja jest taka, że lata dziewięćdziesiąte w polskiej muzyce nie dały wielu wspaniałych dzieł. Ale może musieliśmy przejść tą drogą, aby być tu, gdzie jesteśmy teraz.





Quebonafide / fot. Roman Rogalski



Hańba! / fot. Roman Rogalski





Domowe Melodie / fot. Patrycja Wanot



Jazzpospolita / fot. Patrycja Wanot



SYN STOLICY

czyli morowy chłopak w ostrogach

tekst: Michał Mościcki

Pielęgniarki i sanitariuszki szpitala przy ulicy Płockiej w Warszawie nie lubią pracować w niedzielę. To zazwyczaj dzień odwiedzin, co nie byłoby takie uciążliwe, gdyby nie fakt, że na ich oddziale przebywa wyjątkowy pacjent. Wyjątkowy, bo w takie dni nie może opędzić się od odwiedzających go kolegów. „Ferajna”, czyli całe jego życie, to niezwykle wesoła kompania, której nie obowiązują szpitalne zasady – chętnie wyciągają karty i wódkę podczas przeciągających się wizyt. Stanisław Grzesiuk, czyli ów pacjent ze specjalnymi przywilejami, wyciąga bandzolę i umila im czas swoimi ulubionymi pieśniami. Wódka z jego kieliszka symbolicznie łąduje na podłodze. Po chwili przerywa, bo zaawansowana gruźlica nie pozwala śpiewać zbyt długo, koledzy kontynuują.

Tak mijają ostatnie dni jednej z najbarwniejszych postaci powojennej Warszawy, choć wpływ na to, jaki był, miały przede wszystkim realia międzywojnia i biednych przedmieść. To tam kształtował się charakter „syna stolicy”, wśród mieszkańców legendarnego Czerniakowa, ubranych w kaszkiety, apaszki i zaopatrzonych w noże. Doświadczenia z ulicy Tatrzańskiej, czyli biednych, jednoizbowych czynszówek bez kanalizacji, pomogły Grzesiukowi przetrwać wojnę, okupację, a nawet obozy w Dachau i Mauthausen-Gusen, gdzie znany był „z humoru i bicia głową”. Muzyka ratowała go z wielu opresji, pozwalała zdobyć dodatkową porcję chleba i zapewniła spokój w czasach mocno niespokojnych. Żegnał się również piosenką, kazał



swoim przyjaciółom zaintonować „Komu dzwonią”, choć „umarł pijak, ale pan” w szpitalnej sali śmiertelnie chorego brzmiało wyjątkowo ponuro. Kumple próbują go pocieszać, proszą o „Felka Zdankiewicza”. Nie odmawia, wie, jak bardzo ją lubią. Jak większość sowizdrzalskich kompozycji, idealnych na przeciągające się w nieskończoność „bale”. Śpiewają w głoś. To z pozoru pieśń

jakich wiele. Wesoła przyspiewka o losach młodzieńca, który ma w życiu „farta”, nie stroni od przygód, zabawy i towarzystwa pięknych pań. W finale zostaje zdradzony przez kochankę, na której koledzy wykonują wyrok, zgodnie z kodeksem apaszów. Poza rdzennymi warszawiakami niewielu jednak wie, że Felek Zdankiewicz istniał naprawdę, choć jego osoba obrosła legendą, godną postaci z „Morderczych ballad” Nicka Cave’a. Pochodził z rodziny nieźle sytuowanej jak na owe czasy. Jego ojciec pracował w fabryce Lilpopa, a matka prowadziła sklep spożywczy. Młody Feluś jednak zamiast nauki preferował pobliskie parki, w których łowił ryby i osiągał mistrzostwo w marnowaniu czasu. Podczas jednej z takich eskapad poznał braci Zielińskich, którzy wyrosli w rodzinie ze złodziejskimi tradycjami i w krótkim czasie stali się postrachem stolicy. Dla tego „fachu” Warszawa końca XIX wieku stała się środowiskiem niezwykle przyjaznym. Ilość ówczesnych złodziejskich specjalności może robić wrażenie. Powstawały specjalne „szkoły” przygotowujące do pracy w terenie. Byli „lipkarze”, którzy wkradali się przez „lipko”, czyli uchylone okno, „szufladkarze” – specjaliści od okradania kas sklepowych – czy „szopenfeldziarze”, którzy wynosili odzież ze sklepu pod swoim ubraniem. Felek zaczynał jako „doliniarz”, czyli mistrz w opróżnianiu kieszeni przechodniów. Nie wyróżniłby się niczym szczególnym wśród setek chłopaków z ferajny, gdyby nie trafił do armii rosyjskiej, która wysłała go do swego pułku w Rydze. Odtąd wszystko, co zdarzyło się w życiu Felka, będzie nosiło znamiona opowieści o superbohaterach, jak byśmy powiedzieli dziś. Z dala od swej ukochanej Warszawy spotkał Szajkę Blumberga, swego kolegę po fachu. Odtąd działali razem, łącząc służbę ku chwale cara ze swoim ulubionym zajęciem, czyli pozbawianiem „frajerów” gotówki. Za zarobione pieniądze przekupywali przełożonych, co pozwalało im uniknąć trudów służby i w miarę możliwości umilać sobie czas spędzony w armii. Stąd wziął się obecny w balladzie „urlop sześciotygodniowy”, bo Felek tak intensywnie odpoczywał z żoną oficera, że ten wołał go wysłać na jakiś czas do domu. W glorii i chwale Zdankiewicz wrócił do przyjaciół i swej ukochanej, która jednak okazała się nie tak wierna jak koledzy z bandy. Złamane serce łagodziły suto zakrapiane imprezy, które niebezpiecznie się przeciągały. Kolejny pociąg do Rygi odjeżdżał bez Felka. Choć on zapomniał już o mundurze, to armia pamiętała o nim. Podczas jednej z wizyt u swej niewiernej kochanki ujęli go żandarmi, co stało się przyczynkiem do powstania legendy o złej i zdradliwej

Michalinie, która wydała biednego Felusia. Ten jednak nie wyobrażał sobie życia w więzieniu, więc za pomocą „majchra”, czyli noża ukrytego w nogawce spodni zamordował przesłuchujących go żandarmów. Podczas ucieczki dorożką został jednak ujęty i osadzony w Cytadeli Warszawskiej. Wyrok śmierci zamieniono mu po czasie na ciężkie roboty, które trwać miały do zakończenia jego żywota. Fart Zdankiewicza nie opuszczał i choć zesłany na Sachalin musiał ciężko pracować przez kilkanaście lat w kopalni węgla, to w końcu udało mu się zbiec z dwoma kompanami, dryfując po morzu na ukradzionym czółnie. Jeden ze współwięźniów nie wytrzymał trudów rejsu, stając się pożywieniem dla pozostałych. Dotarli na Syberię, skąd przedostali się do Mandżurii. Tam rzekomo Feluś wrócił do wyuczonego fachu i związał się z bandą okradającą bazy. Po kilku latach okradł ich herszta i powrócił ze sporą fortuną do ukochanej Warszawy. Tu urządził się znakomicie, kupując kamienicę w centrum miasta, lecz jak to w bandyckich opowieściach bywa, kolejna femme fatale go oszukała i załamany apasz roztrwonili to, co mu pozostało. Ile z tych opowieści zostało wymyślonych, wiedział jedynie sam Zdankiewicz, a z czasem pewnie i on gubił się w tych historiach. Opowiadał je bardzo chętnie, gdy tylko znalazł się jegomość zdolny postawić „literka” i zakąskę. Starość Felek spędził w przytułku, choć za sprawą śpiewanej do dziś ballady stał się bohaterem niezapomnianym. Na jego legendę z pewnością złożyło się kilka życiorysów bohaterów warszawskiego półświatka, to jednak Felek Zdankiewicz jest swego rodzaju bandyckim „everymanem”, zdradzonym, ale dumnym, odważnym i czerpiącym z życia pełnymi garściami. Po lekturze biografii Stanisława Grzesiuka autorstwa Bartosza Janiszewskiego trudno oprzeć się wrażeniu, że taki był również „syn stolicy”. Zawsze z podniesioną głową, uśmiechnięty i skory do zabawy, choć jego losy trudno nazwać sielanką. „Boso, ale w ostrogach” – to motto towarzyszyło mu przez całe życie, podobnie jak koledzy, którzy nie opuszczali go nawet na szpitalnych oddziałach. Jego pieśni żyją do dziś, zarówno za sprawą licznych kapel podwórkowych, jak i nagrywanych przez Janka Młynarskiego, Muńka Staszczyka czy Maćka Maleńczuka ballad „Grzesiukowych”. „Nie jestem piosenkarzem, nie jestem artystą, nie jestem muzykiem. Śpiewam, jak się kiedyś na Czerniakowie śpiewało. Proszą mnie to tu, to tam. Dlaczego mam nie iść, jeśli ludziom się to podoba i ja to lubię?”. No właśnie, dlaczego?



//Wojtek Mazolewski: Nie zwalniam tempa

Marek Szubryt: Wróciście właśnie z trasy z Wielkiej Brytanii. Koncert w Church of Sound, nagrania w rozgłośniach radiowych, prezentacja utworu „London”. Nie zwalniasz tempa.

Wojtek Mazolewski: Oj, nie. Przygotowaliśmy dużo ciekawych projektów, dlatego tym bardziej cieszymy się, że możemy je z takim rozmachem realizować. Poza koncertami w Londynie, o których wspominasz, mieliśmy jeszcze wiele tzw. live sessions w kilku rozgłośniach, w tym w BBC, dokręciliśmy ostatnie ujęcia do teledysku do utworu „London”, którego premiera niebawem, więc tak, cały czas jesteśmy w żarze koncertowania i grania.

Singiel „London”, który ukazał się także nakładem Lanquidity Records, graliście również na koncercie. Czytałem, że program nosił nazwę „Polish Jazz under the Iron Curtain” – rozumiem, że graliście m.in. Trzaskowskiego, Namysłowskiego, Komedę?

Formuła wydarzenia w Church of Sound jest taka, że w pierwszym secie zaproszony zespół zazwyczaj odgrywa jakąś klasyczną, legendarną płytę. Z tej okazji, że byliśmy pierwszym zespołem spoza Wielkiej Brytanii zaproszonym do tego projektu, zaproponowano nam, byśmy nie odgrywali jakiejś konkretnej płyty wydanej np. przez Blue Note, ale byśmy się odnieśli do całej serii Polish Jazz, ponieważ jest to nadal wśród tamtejszego środowiska muzycznego pozycja dość dobrze znana i ceniona. Więc my sięgnęliśmy po nagrania wspomnianego przez ciebie Zbigniewa Namysłowskiego i Krzysztofa Komedę, ale również kompozycję Stańki oraz, na koniec, utwór „Song for Ewa” zespołu Polski Jazz Ensemble. A w drugim secie tego samego wieczoru, po około 40-minutowej przerwie,

foto. Marta Wojtal

zagraliśmy premierowo singiel „London”, „Theme de Yoyo” Art Ensemble of Chicago oraz całą masę utworów z albumu „Polka”, bo w zasadzie od niego zaczęło się zainteresowanie nami na Wyspach i od tego w gruncie rzeczy zaczęła się cała ta przygoda, która teraz miała kolejną swoją odstonę.

Bycie pierwszym zespołem spoza Wielkiej Brytanii, który został zaproszony do tak specyficznego miejsca, to niemałe wyróżnienie.

To ogromne wyróżnienie, dlatego jesteśmy bardzo wdzięczni organizatorom, że dostrzegli naszą muzykę i pracę. A co do samego miejsca, to faktycznie jest ono bardzo szczególne. Na co dzień jest to normalnie działający kościół, ale już od wielu lat jest wynajmowany przez promotorów, którzy organizują tam, że tak to ujmę, bardzo podniosłe wydarzenia muzyczne. Całość zaczyna się wcześniej, organizowana jest polowa kuchnia wegetariańska, można posiedzieć, porozmawiać i napić się wina albo piwka, a od 19:00 zaczynają grać didżeje. Co ciekawe, jest bardzo rodzinna atmosfera, przychodzi bardzo dużo muzyków albo osób związanych z branżą, ludzie wymieniają swoje opinie, wymieniają się płytami, przynoszą winyle. Bardzo miło było na to patrzeć, a co dopiero później dla nich grać. Ale czymś, co robiło na nas szczególnie wrażenie, był nie tylko tłum ludzi i ich osłuchanie, ale sama przestrzeń, w której muzyka brzmiała po prostu pięknie. Wszystko to razem pozwoliło nam, grając, dobrze się bawić.

Wspomniałeś o specyfice miejsca i o osłuchaniu ludzi.

Dużo jeździsz po świecie, czy to z Pink Freud po Ameryce Południowej i Azji, czy z kwintetem po innych rejonach.

Marcin Masecki w jednym z wywiadów wspominał o „famie” osłuchania i wyedukowaniu słuchaczy w Niemczech, szczególnie jeśli zdarzało mu się grać Bacha czy innych kompozytorów niemieckich. Jakie są wasze wrażenia z grania „tu i tam”?

Generalnie wydaje mi się, że to, jak my gramy, oddziaływanie naszej muzyki, odbywa się głównie na poziomie emocji i energii. Więc jeśli gramy dobry koncert, to zazwyczaj dzieje

się coś takiego w publiczności, coś się w niej otwiera, że jeśli nawet jej podejście z początku jest sceptyczne, to bardzo szybko po kilkudziesięciu minutach zaczynają wchodzić w nasz świat i zazwyczaj pod koniec kończy się totalną euforią. I głównie o taką właśnie radość w spotkaniu z ludźmi, o dzielenie się doznaniem i inspiracjami nam chodzi. Ale są też oczywiście różnice, np. publiczność w Japonii jest bardzo dobrze osłuchana i bardzo dobrze zna się na różnych gatunkach muzycznych.

Ale szaleństwa nie ma.

Z tym bywa różnie. Bardzo często na początku szaleństwa nie ma, ale jak już ono wybuchnie, to jest ono totalne i te emocje sięgają naprawdę zenitu, co nam czy to z Pink Freudem, czy z kwintetem udało się osiągnąć. Z kolei publiczność w Ameryce Południowej reaguje bardzo żywiołowo od pierwszych minut i aplauz jest bardzo gorący od pierwszych numerów, ale to chyba wiąże się z tym, że tamtejsze społeczeństwo jest bardzo muzykalne: wszyscy śpiewają, wszyscy tańczą, grają. Nawet jazzowa muzyka południowoamerykańska ma w sobie bardzo dużo tanecznych rytmów. Co ciekawe, jako że nasza muzyka stoi w dużej kontrze, toteż na początku wywołujemy spore zdziwienie, że nie gramy ich podziałów rytmicznych, ale po chwili, kiedy poczują energię i moc, która płynie z tej muzyki, tamtejsi ludzie otwierają się i lecimy już dalej razem. A odnosząc się do ostatnich koncertów w Anglii, to trzeba wspomnieć, że publiczność w Church of Sound to są głównie didżeje, dziennikarze, muzycy oraz zagorzali fani muzyki, słowem – bardzo artystyczne środowisko i przede wszystkim bardzo dobrze kojarzące temat i zawczasu dobrze znające formułę koncertu, toteż po naszym występie usłyszeliśmy bardzo dużo ciekawych opinii na nasz temat czy w kwestii naszego grania, co było dla nas pouczające.

Jak wygląda konstruktywna krytyka à la Londyn i Church of Sound?

Może to, że nie mieliśmy wcześniej okazji widzieć tych występów, spowodowało, że poleciliśmy trochę po bandzie



i daliśmy bardzo żywiołowy i ognisty koncert. Toteż po zejściu ze sceny byliśmy łapani na rozmowy, obściskiwani tak mocno, że po wylewnych gestach jednego z tamtejszych panów koledzy byli wręcz nieco obolali. Wiele osób twierdziło, że naszym występem „podnieśliśmy poprzeczkę”, co cieszy tym bardziej, że mówiła to publiczność, która, mówiąc kolokwialnie, wie, o co chodzi. Powiem tyle, że jeszcze następnego dnia kontaktowały się z nami osoby z branży, więc, nie chwaląc dnia przed zachodem słońca, ten wyjazd dał nam bardzo dużo satysfakcji i niewykluczone, że coś jeszcze przyniesie. Choć to wszystko tak ładnie brzmi, to trzeba też wiedzieć, że bardzo dużo nas to kosztowało, było bardzo dużo jeżdżenia, codziennie mieliśmy spotkania z dziennikarzami, promotorami, bookerami. No i bardzo dużo grania.

Czyli teraz krótka chwila odpoczynku (rozmawiamy wieczorem w Wielki Piątek), a już niedługo widzimy się w Opolu.

Szczęśliwie święta dają tę możliwość, że można się na chwilę zatrzymać i pobyć z rodziną, żeby naładować baterie. Ale już we wtorek po świętach spotykamy się w Warszawie i zaczynamy próby. I choć do Opola przyjedziemy z różnymi naszymi utworami, to głównym daniem jest utwór inspirowany waszym miastem, ale to oczywiście nie koniec niespodzianek. Będzie utwór dla Opola, będzie trochę piosenek z „Chaosu Pełnego Idei” w wersjach rozszerzonych, a z artystami występującymi na tej płycie zagramy kilka nowości, no i wreszcie będzie coś zupełnie wyjątkowego, czego jeszcze nie robiliśmy. Chcąc celebrować wasze święto i muzykę w ogóle, zaprosiliśmy do tego wydarzenia Katarzynę Nosowską oraz Adama Ostrowskiego, czyli O.S.T.R-a, z którym oprócz naszej kompozycji przygotujemy także aranżacje jednego z jego utworów w naszej wersji. Toteż nie może was tam zabraknąć, bo będzie to koncert jedyny w swoim rodzaju, jakiego więcej nie zobaczycie i nie usłyszycie, więc zapraszam serdecznie i do zobaczenia!



The Flaming Lips

Sunrise (Eyes of the Young) [Słońce (oczy młodego)]

tekst: Sławomir Kuźnicki i Bartosz Suwiński

Słowo „zapętlenie” zdaje się oddawać ducha twórczości amerykańskiego zespołu The Flaming Lips w najlepszy możliwy sposób.

Po pierwsze, idealnie charakteryzuje muzykę tej działającej od pierwszej połowy lat osiemdziesiątych grupy: psychodeliczną, eklektyczną, zwariowaną, kosmiczną, gęstą, dziwaczną – po prostu zapętloną. Po drugie, oprócz regularnych płyt studyjnych (już czternastu) w dyskografii grupy znajdują się długogrające przeróbki całych albumów należących do kanonu muzyki rockowej: „The Dark Side of the Moon” (2009), „The Stone Roses” (2013) i „Sgt. Pepper’s Lonely Hearts Club Band” (2014). Oczywiście inspiracje (i swoiste hołdy) przeplatają się z autorskim, niejednokrotnie szokującym ich odczytaniem. W końcu, jak przekonuje najnowsza płyta grupy – „Oczy Młody” ze stycznia 2017 r. – zapętlenie odbywa się też na poziomie słownym, i to w dodatku z językiem polskim w roli

pierwszoplanowej. Oto w 2016 r. w ręce Wayne’a Coyne’a, lidera formacji, trafia polskie tłumaczenie powieści „Blisko domu” (oryginał z 1962 r., przekład Kazimierza Piotrowskiego z 1985 r.) autorstwa amerykańskiego pisarza i eseisty Erskine’a Caldwell’a (1903–1987). Coyne momentalnie zakochuje się w naszym języku, w jego zapisie graficznym, w jego brzmieniu, zarażając tym uczuciem pozostałych członków grupy. Fascynacja ta znajduje swoje twórcze ujście nie tylko w tytule najnowszej płyty, ale też w tytułach poszczególnych utworów. Z tego hipnotyzującego zestawu proponujemy piosenkę prawie tytułową (w przypadku Flaming Lips nic nigdy nie jest oczywiste i jednoznaczne), zapętlając ją raz jeszcze w sposób, jakiemu – wierzymy w to głęboko – lider zespołu tylko by przyklasnął.

Sunrise

(Eyes of the Young)

The sunrise insists on gladness
But how can I be glad
Now my flower is dead
Oh, sun, I see you happy
You've made the morning dew
Now you're showing me the truth
But I don't want to believe you
(Believe you, believe you, believe you)

The sunbeams burning my child dreams
The machine that brings me joy
Now it's just a stupid toy
Oh, if I could go back and find you
I'd kiss your glowing head
And hear the things you said
And always believe you
(Believe you, believe you, believe you)

Oh, the sunset
Is fucking with my head
Feels like a dying love in the eyes of the young
Tell me love is neither living or dying
It's a power in your mind
I think it's with you all the time
It only hurts when it leaves you

Słońce

(Oczy młodego)

słońce patrzy pod oczy
jest nieustępliwe w swojej naturze
ożywia to co dawno martwe
broczy poranną rosą
(choć rosie nie należy wierzyć)

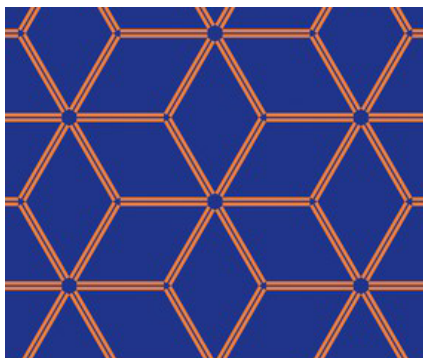
on zbliża usta do promienia
poznaje złożoność natury słońca
całuje jego gorejącą poświatę
doświadcza prawdy absolutnej
(albo jej iluzji)

słońce umiera w jego młodych oczach
przestawia przedmioty w jego głowie
odchodzi od niego na zawsze
i jest z nim już po wsze czasy
(co w sumie boli tak samo)

Ziemia tragiczna

Słońce pnie się jak bluszcz, zaczyna swoją wędrówkę od świtu. Przeciera się na południu, podnosi się wyżej, aż opiera się na oknach, kładzie cieniem na kominach. Niesie z sobą widoki, otwiera horyzont, zawiązuje na widnokręgu spojrzenie. Słońce jest jak hologram na rzece, falujący wraz z każdą fałdką gnaną wiatrem. Rzeka ma kolor słońca przepuszczonego przez gazę. Promienie zostały wewnątrz, a poświata zlała się z zewnętrznym obrazem cienia. Wiązki światła rozpraszają ciemność, wchodzą w szpary w ścianach, wzniecają kurz na poddaszu, wirują wraz z pajęczynami w kufrach, w których zamknięta jest noc. Pryzmat mroku jest rozszczępiony na siatkówkach zarzuconych jak sieci, daleko. Rozszczępienie promieni wymaga uwagi i cierpliwości. Światło wychodzi z czterech stron naraz, wiąże się u sklepienia, funduje widok. Prawda jest jasna jak kula, z której wróży się przyszłość poranka porzuconego tuż przed południem. Słońce umiera w cieniu, który jest kresem widzialnego. Iluzja światła w cudzych oczach pomnażanych przez spojrzenia zadłużone we wzroku tych wszystkich, co przeszli przez oczka sieci rzuconej głęboko. Rzeka zakryta przez noc, bezpieczne koty wałęsają się po gruzie. Miasto ani nie śpi, ani nie czuwa. Ludzie na ostatnich prostych. Słońce umiera w jego młodych oczach. On wie, że kto ma dużo światła w oczach, tego czeka krótkie życie.

//Zaleca się



Saagara

2

Wacław Zimpel, laureat Paszportu Polityki, znów zaskakuje. Po minimalistycznym i solowym „Lines” postanowił zafundować nam wycieczkę, jakiej w naszej muzyce dawno nie było. Saagara to projekt z hinduskimi muzykami, z którymi Polak już współpracował w przeszłości. Kto śledził twórczość Zimpla, mógł w wywiadach przeczytać, że artysta, zafascynowany muzyką hinduską, postanowił zgłębić jej skomplikowane struktury rytmiczne i harmoniczne. Piszę o tym dlatego, że średnio osłuchany Europejczyk jest bezbronny, jeśli chodzi o taktowanie i rytmikę z tamtego regionu. Nasze mniej lub bardziej połamane metra są niczym w porównaniu z płynącymi, potoczystymi, mantrowymi wręcz

strukturami rytmicznymi, które serwuje nam pozostałe $\frac{3}{4}$ zespołu. Rzecz zupełnie zjawiskowa, tym bardziej że na „2” mamy do czynienia z wirtuozami swoich rzadkich instrumentów. Jednak pisząc o Saagarze, trzeba też wspomnieć o tym, że Wacław Zimpel na klawercie gra jak mało kto, potrafiąc połączyć zarówno powściągliwość i minimalizm z klezmerskim wręcz tonem i wrażliwością. Co więcej, na „2” artysta nie stara się naśladować ornamentyki i sposobu gry Hindusów, pozostając, że się tak wyrażę, sobą i grając w swój sposób, co chwali się jeszcze bardziej.

tekst: Marek Szubryt



Chicano Batman *Freedom is Free*

Druga w dorobku zespołu płyta jest, jak można wnioskować już po samym tytule, apoteozą wolności. Jak się szybko

okazuje, nie chodzi tylko o wolność i nieskrępowanie w miłości, ale także o niezważanie na ogólnie przyjęte zasady i reguły. Wywodzący się z Los Angeles oraz z kręgu tzw. amerykańskiej alternatywnej muzyki latynoskiej (wiem, wyjątkowo dziwne określenie) zespół ewidentnie ma swoje pięć minut: zaproszenia najpopularniejszych stacji radiowych i zapchany kalendarz letnich koncertów, w tym np. na Coachelli. Mnie najbardziej w Chicano Batman odpowiada nieskrępowanie i lekkość, jakie kwartet prezentuje w swojej muzyce: połączenie pulsujących, acz nienachalnych i delikatnych brzmień z pogranicza bluesa, soulu oraz szeroko rozumianej muzyki latynoskiej. Osobiście doceniam tę zgrabną zabawę, ale pewnie niektórych mogą denerwować częste zmiany metrum w jednym utworze. Dlatego też noszący miejscami znamiona hitowego „Freedom is Free”, choć powinien, nie wszystkim przypadnie do gustu.

tekst: Marek Szubryt

//Zaleca się



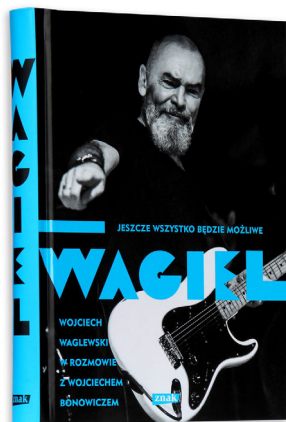
Mastodon **Emperor of Sand**

Miałem tym razem Mastodona pominąć, bo z kimkolwiek przed premierą „Emperor of Sand” na ich temat rozmawiałem, słyszałem coś w rodzaju: e tam, nie ma co, wiesz, to nie to co kiedyś i generalnie oni skończyli się na „Kill’em All”. Nawiązanie do Metalliki jest o tyle zasadne, że istniała poważna obawa, iż panowie, w związku z trudnymi i przykrymi doświadczeniami, jakie spotkały niektórych z nich podczas pracy nad płytą, wydadzą coś na kształt przesłodzonego i niestrawnego strucla, jakim był np. album „Black”, i żadne zakłęcia oraz dorabianie historii nie pomogą. Ale cicho sza, niedowiarki, gdyż Mastodon nagrał jedną z lepszych płyt w swoim dorobku! Rzecz jasna niezadowoleni pozostaną ortodoksi, którzy nadal czekają na kolejnego „Leviathana”, przy każdej okazji odsądzając Amerykanów od czci i wiary, a słysząc iście radiowy singiel

„Show Yourself”, śpiewany oczywiście w przeważającej części przez perkusistę Branna Dailora, dostają pewnie piany na ustach. Tym wszystkim radziłbym poszukać nowego zespołu, a całej reszcie gorąco polecam „Emperor of Sand”, który jest jednym z lepszych albumów w dorobku grupy. Użycie słowa „rzetelny” mogłoby wskazywać, że z braku lepszych powodów straceńczo chwytam się jakichkolwiek pozytywów, ale nic bardziej mylnego. Widocznie tworzenie concept albumów panom służy, bo „Emperor of Sand” to naprawdę dobra płyta, która ucieszy tych wszystkich, którzy uwielbiają Mastodona za mieszankę melodii przeplatanych z przesterowanym pazurem, zabawą rytmem i wziętym w cudzysłów monumentalizmem. No i realizacja nagrań – prima sort.

tekst: Marek Szubryt

Wagiel. **Jeszcze wszystko będzie możliwe**



Kolejny wywiad rzeka ze znakomitym muzykiem, który ukazał się w ostatnich latach na polskim rynku. Tym razem głównym bohaterem jest Wojciech Waglewski, a pytającym – Wojciech Bonowicz, czyli dwóch panów, którzy znają się nie od dziś. I chyba właśnie dzięki temu nie tylko do spotkania doszło, ale książkę się tak dobrze czyta. Zadowoleni będą przede wszystkim waglolodzy, ale jako że spotkało się dwóch kolegów, a sam Wagiel w takich warunkach bywa wdzięcznym gawędziarzem, rzecz po prostu przyjemnie się czyta. Szczególnie wart uwagi jest rozdział opowiadający o okresach najślabiej opisanych i najślabiej „zachowanych”, czyli współpracy Waglewskiego z Osjanem oraz ze Zbigniewem Hołdysem w I Ching. Ale smaczków w książce jest znacznie więcej, szczególnie charakterystyka specyficznego podejścia rodaków do krytyki oraz wiele innych.

tekst: Marek Szubryt

//Zaleca się



The XX

I see you

Pięć lat trzeba było czekać na nowy, trzeci album londyńczyków. Po dobrym debiucie oraz, nie ma co się oszukiwać, kiepskiej drugiej płycie, ta miała być sprawdzianem. Sprawdzianem tym ciekawszym, że solowy album Jamiego XX „In Colours”, czyli jednej trzeciej tria, znajdował się prawie we wszystkich podsumowaniach najlepszych płyt 2016 roku. Zapowiadający album singiel „Hold on” zwiastował, że może być naprawdę ciekawie, choć jego taneczny bit klasyfikował go nawet bliżej solowych dokonań Jamiego niż płyt The XX. Co prawda na płycie nie brakuje minimalistycznych i melancholijnych piosenek tak charakterystycznych dla zespołu, ale zdecydowanie wyczuwalny jest wpływ Jamiego, przez co brzmienie zespołu stało się pełniejsze. Jak to u The XX bywa, wokale Oliviera i Romy pięknie się uzupełniają, a zespół tym albumem zdecydowanie mruga okiem w stronę

popowej publiczności, nie tracąc jednocześnie swego rozpoznawalnego stylu i brzmienia. Idealnie przy okazji mierząc proporcje. Alternatywny pop wysokiej próby, słowem – zdecydowanie najlepszy album w ich dorobku.

tekst: Rafał Czarnecki



Bitamina

Kawalerka

Co należałoby napisać o tej płycie? Na pewno – że to czwarty album Bitaminy, a zespół cały czas się rozwija. Z pewnością należałoby nadmienić, że na „Kawalerce” mamy do czynienia z mnogością gatunków, by wymienić hip-hop, jazz, reggae, elektronikę, a i tzw. killera radiowego w postaci piosenki „Dom” nie zabrakło. Wspomnieć też trzeba by było, że ogromnym atutem płyty jest jej spójność, to jest po prostu album, którego słucha się w całości. No i świetne teksty! O ilości: „zawiozę do szkoły każde z naszych 25 dzieci i mowy nie ma, żebyś musiała wstać”; o młodości: „nie pytaj, czy pamiętam o podatku, dbam o to, by nie pozostawić spadku”;

o relacjach: „on pamięta włosy jej krótkie, ona za to wie, jak on reaguje na wódkę”. Dobra, ale prawda jest taka, że jestem absolutnie zauroczony tym albumem. Nie bez przyczyny może być trzydzieści parę lat na karku i doświadczenie mieszkania w kawalerce. Teraz co prawda posiadam własne mieszkanie, a w sumie to moje i banku, choć, chcąc być precyzyjnym, należałoby zaznaczyć, że jeszcze tylko przez 27 lat banku, a potem to już pełnia własności... Nieważne. Pewne jest, że do tej kawalerki już bym nie wrócił, a do Bitaminy wracać będę często.

tekst: Rafał Czarnecki



Thievery Corporation

The Temple of I&I

Duet z Waszyngtonu zanotował powrót w najlepszym stylu. Po niezbyt udanym mariażu z bossa novą na „Saudade” panowie wrócili niejako do korzeni, dosłownie i w przenośni. Pojechali na Jamajkę i w tamtejszych studiach nagrali

album nawiązujący do największych osiągnięć zarówno mistrzów reggae, jak i samych panów z „korporacji”. Nie brakuje znaków szczególnych dla Thievery, czyli basu, który prowadzi słuchacza w każdym niemal utworze, sprawiając, że nawet w najbardziej bliskich reggae kompozycjach czuć oddech amerykańskiego chilloutu. To album jednak na wskroś karaibski, pełen dubu, raggamuffin i pięknych wokali. To właśnie doskonale dobrane głosy zawsze stanowiły o sile płyt Thievery Corporation. Nie ma typowego ratowania się „featuringami”, raczej mamy tu do czynienia z zabawą w odkrywanie nowych wokalistów. Całość niezwykle ciepła i energetyzująca. Idealna na wiosenne eskapady.

tekst: Michał Mościcki



Valerie June

The Order of Time

Gdy rodzisz się w małym miasteczku w stanie Tennessee w rodzinie śpiewającej gospel, a w wieku 18 lat przenosisz

się do Memphis, aby tam nagrywać i tworzyć, to istnieje szansa, że zostaniesz niezależną i zdolną artystką szybującą w górę w tempie odrzutowca. Zdarzają się jednakowoż lotnicze katastrofy, ale w przypadku Valerie June mamy do czynienia z lotem bez turbulencji, za to z pięknymi widokami. Poprzedni album, „Pushin’ Against a Stone”, zwrócił uwagę wszystkich na niezwykle charakterystyczny wokal June. To coś, w czym człowiek zakochuje się od razu lub z miejsca odrzuca. Nie ma tu mowy o półśrodkach. Choć sama artystka na nowej płycie zgrabnie się wymyka, umiejętnie modulując głos na potrzeby kompozycji. Znajdziemy tu sporo muzycznych światów, od korzennego, plemiennego wręcz bluesa, poprzez soul, który gdzieś tam „ociera się” o bluegrass czy country. Lecz to przede wszystkim muzyka gdzieś ze środka, niezwykle autentyczna. Valerie mówi o niej: „muzyka korzeni i organicznego bimbru”. Zatem: na zdrowie!

tekst: Michał Mościcki

//Zaleca się

KONCERT
KORTEZ

JULIA PIETRUCHA

25 SIERPNIA
AMFITEATR NCPP

maj 2017

Redakcja:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, mic@ncpp.opole.pl

Opracowanie, redakcja treści: Marek Szubryt, m.szubryt@ncpp.opole.pl

Zespół redakcyjny: Marek Szubryt, Rafał Czarnecki, Michał Mościcki

Okładka: fot. SplitShire

Opracowanie graficzne, skład: Kamil Pieśniewski, grafika@ncpp.opole.pl

Reklama: Aleksandra Chłodnicka, a.chlodnicka@ncpp.opole.pl

Współpraca: Sławomir Kuźnicki, Bartosz Suwiński, Bartek Chaciński

Korekta: Krzysztof Szymczyk

Nakład: 2000 egzemplarzy

Wydawca:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole, biuro@ncpp.opole.pl

ISSN 2299-6273

„Muzyczny Informator Culturalny”

MAGAZYN BEZPŁATNY



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki

MIC
muzyczny informator culturalny



www.ncpp.opole.pl



facebook.com/ncpppl



twitter.com/ncpp_opole



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki

23.07 BAJKOWE WAKACJE

28.07 Letnia Scena NCPP:
DARIA ZAWIAŁOW

29.07 Siesta na Tarasie:
RENI JUSIS

04.08 Letnia Scena NCPP:
ELDO

05.08 IV Letni Festiwal Operowy:
NABUCCO

11.08 Letnia Scena NCPP:
SHY ALBATROSS

12.08 PERFECT, SUPPORT: SEN

13.08 BAJKOWE WAKACJE

18.08 Letnia Scena NCPP:
KAPELA ZE WSI WARSZAWA

19.08 Siesta na Tarasie:
FLIRTINI

20.08 KINO POD GWIAZDAMI

25.08 KORTEZ I JULIA PIETRUCHA

26.08 Siesta na Tarasie:
ADRIAN SHERWOOD

01.09 Letnia Scena NCPP:
EAST WEST ROCKERS

02.09 POLSKA NOC KABARETOWA

09.09 ORKIESTRA ZŁOTYCH PRZEBÓJÓW

BILETY DOSTĘPNE W KASIE NCPP ORAZ NA STRONIE INTERNETOWEJ WWW.NCPP.OPOLE.PL

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki
ul. Piastowska 14A, 45-082 Opole
WWW.NCPP.OPOLE.PL



Repertuar

NARODOWEGO CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI

12.05 POLSKA NOC KABARETOWA

19.05 WOJTEK MAZOLEWSKI QUINTET I GOŚCIE

20.05 Siesta na Tarasie:
POLA RISE

02.06 ANIA DĄBROWSKA - FESTIWAL KSIĄŻKI 2017
SUPPORT: SABINA GOLANOWSKA

03.06 HIP-HOP OPOLE

04.06 ROCK OPOLE

09-11.06 54. KRAJOWY FESTIWAL PIOSENKI POLSKIEJ

16.06 Letnia Scena NCPP:
KLEZMAFOUR + KROKE

22.06 NIEPOKONANI 2017 - PIERSI I GOŚCIE

23.06 THOMAS ANDERS I MODERN TALKING BAND

30.06 Letnia Scena NCPP:
VAVAMUFFIN

07.07 U'RODZINY REGE 2017
35-LECIE ZESPOŁU BAKSHISH

14.07 Letnia Scena NCPP:
LESKI

15.07 Siesta na Tarasie:
DUIT

16.07 KINO POD GWIAZDAMI

21.07 Letnia Scena NCPP:
BOVSKA



FESTIWAL KSIĄŻKI 2017

**ANIA
DĄBROWSKA**
SUPPORT: SABINA GOLANOWSKA

02.06 / WSTĘP WOLNY

TEREN ZIELONY BIBLIOTEKI WOJEWÓDZKIEJ W OPOLU

REKLAMA

REKLAMA